

wym – szepnął pułkownik, usiłując ująć rękę młodej kobiety.

– Panie pułkowniku! Zalecam więcej ostrożności – ostrzegła Olivia, uchylając się zręcznym ruchem. – Pan zapomina, że to nie Indyjczyk i nie wie pan może, że baron d'Esclairs jest bardzo zazdrosnym. No! Ale dosyć już o tem! Pomówmy o tem, co pana sprowadza do mnie.

– Dobrze – odrzekł pułkownik, przybierając natychmiast poważną postawę. – Ma pani słuszność. Na wszystko nadchodzi pewna stosowna pora w życiu... Wspomniałem już pani, że miałem wiele zajęcia w tych dniach. Urządzałem swoją willę na polach Elizejskich, a trzeba było w niej zaprowadzić wiele zmian i ulepszeń, bo dawno już nie była zamieszkaną. Dzięki Bogu, załatwiłem się z tem już zupełnie. W stajni stoją konie, wybrane starannie przezemnie i zdołałem już zdobyć sobie doskonałą i wyćwiczoną służbę. U was w Paryżu można zdziałać w tym kierunku istne cuda w przeciągu kilku dni. Jak pani widzi, nie straciłem czasu na próżno, willa przygotowana jest i odświeżona, ale brakuje w niej najważniejszej rzeczy...

– Co takiego?

– Ożywienia, ruchu... Gniazdko ładne... ale, niestety, próżne. Baron podsunął mi nadzieję, że nie opuści mnie w tej okolicy...

– Cóż pan zatem chce uczynić?

– Chcę wydać wieczór... rodzaj zabawy...

– Dla kogo?

– Dla Paryża!

– Ależ, tyle jest osób w Paryżu! – zaśmiała się Olivia.

– Tem łatwiej wybierać. Pragnę zgromadzić u siebie wiele pięknych i wytwornych kobiet, młodych ludzi, dobrze sytuowanych i dobrze wychowanych, starszych, poważnych mężczyzn... Jednym słowem wszystkich tych, którzy pragną zabawy i użycia. Mają być śpiewy, tańce, gry, rozmowy dowcipne i ożywione. Chcę poza tem, aby wszyscy goście, którzy zaszczyca willę moją swoją obecnością, wynieśli z tego wieczoru jak najmielsze wspomnienie.

– W takim razie będą walczyć w Paryżu o zaproszenie na ten tak obiecujący wieczór.

– Niestety, nie znam nikogo tutaj i jeżeli pani i baron nie przyjdziecie mi z pomocą, jestem zgubiony.

– W czymże panu pomódz możemy?

– Baron przyrzekł mi sprowadzić swoich przyjaciół, panią zaś chcę prosić o przyprowadzenie mi swoich znajomych pań.

– Ależ i owszem, chętnie to uczynię dla pana – oświadczyła z gotowością Olivia.

– Ma ich pani wiele zapewnie?

– Znajdzie się pokaźna liczba.

– Niech pani mi poda ich nazwiska, a ja u pani złożę zaproszenia, do których dołączy pani kilka słów od siebie, a jeżeli pani do tej przysługi dodać jeszcze najważniejszą dla mnie... to jest zająć się rolą gospodyni domu, sukces wieczoru będzie w całej pełni zapewniony. No, jakże, pani Olivio? Czy mogę liczyć na panią? Proszę się tylko nie wahać – to rzecz postanowiona – nieprawdaż?

– Skoro pan tak bardzo tego pragnie, a baron daje swoje przyzwolenie.

Słumiony błysk radości zajaśniał nagle w oczach pułkownika. Pochylił się z zadowolonym uśmiechem ku młodej kobiecie i wyjął z kieszeni notatnik, oprawiony w czarną skórę.

– Dziękuję. Dzięki pani spada mi ciężar z piersi. Zabierzmy się więc zaraz do roboty. Przedewszystkiem ta biedna Elwira, która odsprzedała mi swoją willę... należy jej się to, nieprawdaż?

– Doskonale! Więc Elwira – odrzekła z ożywieniem Olivia, która na dobre zaczęła się interesować całą sprawą. – Potem Klementyna du Bois, Anaisa Leblanc, Berta de la Croix, Lili, Manon, Torrella...

– Oh! Dosyć na razie, dosyć – przerwał pułkownik, śmiejąc się. – Nie jestem w stanie zapisywać tak szybko. A przytem samo nazwisko nie wystarcza jeszcze. Musi mi pani dać niektóre szczegóły, dotyczące się osób tych pań.

– Jakież?

– Ich wiek na przykład, pochodzenie.

– Oh! Zawiele pan wymaga odemnie – zawołała kobieta. – Byłoby wielką niedelikatnością zapytywać te panie o ich pochodzenie, jak również o ich plany na przyszłość. – Zresztą – dodała po chwili – byłoby to zajęcie nie przedstawiające dla mnie nic pociągającego – chyba,

że pan pragnie rywalizować w tym kierunku z panem Cypryanem Leduc.

– Co? Leduc? – zapytał żywo pułkownik.

– Tak, to ciekawy staruszek, którego poznałam kilka dni temu – objaśniła Olivia.

– Był u pani?

– Tak jest.

– A w jakimże celu.

– Nie przyszedł do mnie, lecz do barona...

– Nie wiedziałem, że baron zajmuje się genealogią...

– Pan d'Esclairs przedewszystkiem nie zajmuje się niczem, ale w każdym razie to, czego się dowiedział od pana Cypryana Leduc, zainteresowało go mocno.

– Cóż to było takiego, jeżeli wolno wiedzieć? – zapytał pułkownik, widocznie zaintrygowany.

– Nie dziwię się temu pytaniu. Przybywa pan zdaleka i nie wie nic o tem, co się tu dzieje u nas.

– Czy dzieje się naprawdę coś tak interesującego?

– Coś okropnego! Podobno w obecnej chwili wszyscy, którzy zbliżają się do rodziny Bonnet d'Esclairs, są zagrożeni zamordowaniem.

– Co pani mówi? To okropne rzeczywiście! Ale to w niczem pani dotknąć nie może.

– Mnie nic, dzięki Bogu – odpowiedziała młoda kobieta, wstrząsając się nerwowo. – Ale baron nie jest bardzo spokojny co do swojego losu. Razem z przyjacielem swoim Henrykiem Berthaud przedsięwziął wszelkie środki ostrożności, ale rozumie pan, że to jeszcze żadnego zapewnienia bezpieczeństwa dać nie może.

– A to ciekawa sytuacja, doprawdy! Współczuję z baronem! Szkoda, że mi wczoraj o tem nie wspomniał, bo...

Pułkownik nie dokończył już rozpoczętego zdania, gdyż w tej samej chwili drzwi buduaru otworzyły się i wszedł baron Bonnet.

Był zamyślony i zgnębiony. Spostrzegłszy pułkownika, skrzywił się z wyrazem niezadowolienia.

Podszedł jednakże do niego i podał mu rękę.

– Mówiliśmy właśnie o panu, baronie – rzekł pułkownik, powstając. – Pani Olivia opowiadała mi o tej sprawie przykrej, która dotyczy pana. Czyżby naprawdę miał pan podstawy do niepokojenia i lękania się o siebie?

Czoło barona pokryło się chmurą i jeszcze żywszy wyraz troski ukazał się w jego oczach. – Podstawy? – powtórzył. – Cóż ja wiedzieć mogę konkretnego. W każdym razie uspokaja mnie trochę myśl, że policja i przyjaciel Berthaud czuwają nademną.

– A, to bardzo dobrze! – zawołał pułkownik. – Czy o tem dowiedział się pan coś nowego?

– Berthaud przed godziną nie wiedział jeszcze nic ponad to, co wiemy wszyscy. Ale teraz, kiedy rozeszliśmy się, on udał się do ministerstwa marynarki i przyjdzie tu zaraz podzielić się ze mną wiadomościami, jakie tam otrzymał.

– Czy wykryto ślad jaki?

– Jeszcze nie – ale wiemy o czymś bardzo ważnym.

– Oh! Oh! – zawołał pułkownik z zainteresowaniem. – Cóż to takiego?

– Wie pan coś o tem – odparł baron, zniżając głos mimowolnie – bo znajdował się pan tego dnia w pociągu, odchodzącym z Marsylii, w dzień przybycia parowca „Cambodge” z Indyi. Zauważono wówczas naruszenie worka z depeszami.

– Tak, przypominam sobie.

– Jak tylko ten fakt został stwierdzony, za depeszwano z ministerium do Kalkuty, aby otrzymać przy najbliższej sposobności z Indyi duplikaty depesz i aktów, które miały się znajdować w owym naruszonym worku.

– Zdaje mi się, że blisko dwa miesiące upłynęły od tego czasu...

– Tak, blisko dwa miesiące i z depesz nadeszłych stamtąd stwierdzić można, że duplikaty żądane wysłane zostały parowcem „Saigon”, który opuścił Kalkutę piętnaście dni temu.

– A to interesująca historia! – zawołał pułkownik. – W takim razie więc parowiec przybędzie do Marsylii w niedługim już czasie i te depesze żądane mogą być w Paryżu przy końcu przyszłego tygodnia!

– Mniejwięcej.

– Dzień nadejścia nie jest dokładnie znany?

– Dziś rano nie był jeszcze oznaczony... Ale Henryk wkrótce nadejdzie... dowiemy się więc. Ale, oóż zdaje mi się, że ktoś dzwoni, to on z wszelką pewnością.

Baron nie mylił się: do pokoju wbiegł młody adwokat, rozgorączkowany i zdyszany, przywitał się szybko z Olivią i pułkownikiem i odciągnął na bok przyjaciela.

– A więc? – zapytał tenże niespokojnie. – Masz jakie wiadomości?

– Tak – odpowiedział Henryk Berthaud.

– Kiedy przybywa parowiec?

– Według wszelkiego prawdopodobieństwa w przyszłą sobotę rano.

– W sobotę – zawołał pułkownik, do którego słowa te dobiegły. – Ależ to właśnie dzień naznaczony na moje przyjęcie! To dobry znak, doprawdy. Morderca rodziny Bonnet powinien się mieć na ostrożności.

– Może być pewnym – rzekł Berthaud – że miliony, tak upragnione przez niego, nie dostaną się do jego ręki, bo spadek po panu Bonnet z Indyi dostanie się legalnym sukcesorem.

Dziwny uśmiech przemknął na te słowa po ustach pułkownika Robert.

– Będzie to oczywiście najlepsze rozwiązanie – rzekł z przekonaniem. – Mam nadzieję, że wszystko do soboty uda się pomyślnie... Chyba...

– Chyba co? – zapytał żywo baron. – Czy sądzi pan może, że morderca do tego czasu zakończy swoją działalność w inny sposób? Cóż on uczynić może w przeciągu kilku dni?

– Ma pan słuszność – przytaknął pułkownik. – Przedewszystkiem będzie zmuszony starać się o bezpieczeństwo własnej osoby, bo musi chyba wiedzieć o poszukiwaniach skierowanych za nim. Odchodzę więc zupełnie uspokojony kochany baronie i mam nadzieję, że na sobotniemu przyjęciu u mnie będzie pan już całkiem zwolniony z tego drażniącego niepokoju i troski. Droga pani Olivio! Żegnam panią i raz jeszcze gorąco dziękuję za okazaną mi pomoc w tej krytycznej chwili.

Pułkownik skłonił się z wytworną galanterią przed młodą kobietą, uściskał dłonie obu mężczyzn i wyszedł odprowadzony do drzwi przez barona.

Na polach Elizejskich wsiadł do oczekującego na niego powozu i kazał się zawieźć do Belleville, na ulicę Pixecourt.

Przy tej to ulicy mieszkała stara Bruchon. Była bardzo znaną w tej dzielnicy i dosyć nawet lubianą, bo regularnie wypłacała swoje zobowiązania i umiała obchodzić się uprzejmie ze swoimi klientkami.

Kiedy dorożka zatrzymała się przed magazynem i pułkownik Robert podszedł do drzwi otwartych, jedna tylko służąca stała za ladą, zastępując w handlu nieobecna w tej chwili właścicielkę.

– Pani Bruchon? – zapytał pułkownik.

Służąca, starsza dziewczyna o niesympatycznym wyglądzie, wprowadziła go w milczącym do pokoju znajdującego się poza sklepem. Pani Bruchon zajęta sprawdzaniem rachunków w załuszczonej książce, spostrzegłszy wchodzącego, porzuciła natychmiast zajęcie i żywo podbiegła do niego, przysuwając mu uprzejmie krzesło. Ale pułkownik odmówił ruchem ręki.

– Dziękuję, mam niewiele czasu i nie mogę tu dłużej zabawić nad parę minut.

– Pan chce ze mną pomówić o tej malej? – zapytała pani Bruchon ciekawie.

– Tak, o Gilbertcie przedewszystkiem. Przypuszczam, że pani opiekuje się nią starannie i nie opuszcza ani na chwilę.

– Oh! Może pan być spokojny! Taki miły aniołek!

– Czy mówiła co do pani?

– Nie, ale jest bardzo smutna i zdaje mi się, że biedactwo płakało.

– Trzeba jej powiedzieć, że stan ten nie potrwa długo, że wkrótce opuści tymczasowe swoje schronienie, ale byłem zmuszony postąpić w ten sposób, przez wzgląd na nią i jej spokój.

– Wiem o tem, proszę pana. Postaram się ją uspokoić i ułagodzić jej smutek.

– Czy nie zauważyła pani, aby ktoś krążył koło domu?

– Dotąd nie widziałam nikogo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)